

Tylko w marzeniach możemy być
naprawdę wolni

Aleksander Sowa

DO WIDZENIA

Zawiera nagrodzone w ogólnopolskim konkursie literackim
„MÓJ BELFER” opowiadanie pt.: „Tak jest, kapitanie!”

do widzenia

Aleksander Sowa

**Do widzenia
Czwarty dzień grudnia
Jej ostatnie samobójstwo
Jak słyszeć?
Tak jest, kapitanie!
Syndrom złamanych serc
Ochroniarz
Pół godziny Tadeusza Kościuszki
Pierwszy krok w niebo**

© Copyright by Aleksander Sowa 2013

Okladka: Aleksander Sowa

Zdjęcie na okładce: Aleksander Sowa

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –
eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-3839-9

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing
www.wydawca.net

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,
rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.**

Opole, grudzień 2013 r.

Do widzenia

Zdarzyło się to, kiedy nie miałem pojęcia, co robić z życiem. W jednej z tych studenckich, ciasnych i dusznych kawiarni gdzieś nieopodal Krakowskiej Szkoły Filmowej. Był maj, powietrze pachniało uroczym, słońce za oknem przyjemnie paliło w oczy. Włóczyłem się po mieście zakochany Baczyńskim, Szymborską i Gajcym. Zastanawiałem się wtedy, ja, głupi żółtodziób, dlaczego to *Ferdydurke* jest szkolną lekturą, a nie *Pornografia*. Wszedłem tam ugasić pragnienie. Zmrużywszy powieki, oddałem się w nastrój błogi, senny, lecz pozornie niewzruszony. Ten spokój lokalu mego chwilę później zburzyła ona.

– Poproszę kawę – rzuciła w kierunku barmana, wchodząc. – Cholerka, pomyliłam godzinę – dodając, błysnęła uroczym uśmiechem.

– Egzamin?

– Z filmu – odparła, trzymając pomiętą kartę papieru.

Włosy spięte w mysi ogonek. Biała koszulka, granatowy sweterek, czarna spódniczka do kolan. Wraz z jej wtargnięciem w nasz lokal wlał się przedziwny stan niepokoju. Niewytłumaczalne oczekiwanie na nie wiadomo co, które ma nadejść z nie wiadomo skąd. Ale bez wątpliwości, że przyjdzie.

– Rozumiem – barman odparł uprzejmie. – Ile musi pani czekać?

– Kwadrans.

– A, to akurat na kawę.

Po chwili, gdy filiżanka była już pełna, a barman dodał ciepłe „powodzenia”, skierowała się ku nam. Zaznaczyć bowiem muszę naprędce, że oprócz mnie był jeszcze pewien jegomość. Siedział w kącie salki tego absurdalnego lokalu, a oprócz trzech i pół metra dzieliła nas przepaść bezmiaru nieszczęścia.

W bezruchu, niczym gad jakiś, obserwowałem ją od początku. Nasze spojrzenia spotkały się wreszcie. Lecz cóż to, znad Gombrowiczowskiej mej barykady nie dość, że nie mogłem dostrzec koloru jej oczu, to zaraz się też okazało, iż może to dobrze. Oczy nieznanego koloru przeniosła bowiem na biedaka przy drugim stoliku i chyżo ruszyła ku niemu.

To mnie zastanowiło. Czym wtedy się kierowała, nie wiem. Może, wybierając, uznała, że czytam? Nie chciała przerywać? Dlatego wybór padł na nieszczęśnika w kącie? Następne jej słowa miały jednak zdradzić powód tej decyzji, pozornie pozbawionej logiki.

– Przepraszam – zagaiła. – Poćwicz pan ze mną?

Z pewnością miał po czterdzieście i wyglądał jak lach. Albo jak ciełe. Nie żebym poczuł się urażony jej karkołomnym wyborem, ale tak miały się fakty. Uzasadnione zresztą okolicznościami, o czym później. Dość wspomnieć, że lach siedział sam, przegrany, ze spuszczoną głową, w niewoli czarnych myśli, jakby drzemiąc, i nie wyglądał na szczególnie inteligentnego.

– Poćwicz? – spytał bezmyślnie.

W tym powtórzeniu brak było interpunkcji, czegokolwiek z emocji, chociażby pytajnika, tak zdawał się pochłonięty myślami i wyobcowany. Przysiagliłbym, że tak właśnie wygląda człowiek tuż przed samobójczym skokiem z wieżowca, mostu czy skały.

– No – mała przytaknęła natychmiast – dialog. Tekst mam. Do egzaminu.

– Do egzaminu?

– Uhm. Za piętnaście minut. Najlepsi zagrają w filmie. Wyświadczyłby mi pan... – chwilę się waha – wyświadczyłbyś mi przysługę?

– Przysługę?

– Chciałabym ostatni raz powtórzyć ten dialog.

– Dialog?

– Tylko raz. Proszę – mała naciska uroczo.

Na to mężczyzna odwraca wolno głowę w kierunku toalety, jakby chciał uciec, lecz nie spuszcza wzroku z dziewczyny. W tym ślamazarnym ruchu jest jakiś przymus, niezrozumiała konieczność.

– Raz?

– Tak.

– W porządku.

I tym mnie zdziwił, zaskoczył i zaciekawil. Wyglądał przecież tak samo jak każdy z nas, chłopców, mężczyzn w tej przeklętej chwili. Żałośnie i podle. Próba tekstu wydaje się w takich okolicznościach nawet już nie na miejscu, lecz najzupełniej niedorzeczna. Niczym mrożone pomyje pite przez rurkę jak kolorowy drink z parasolką. A jednak zgodził się, co miało w sobie jesz-

cze więcej z groteski. Gombrowicz w sam raz, Witkacy na do widzenia.

– Zaczyna się tutaj. – Dziewczyna wskazuje palcem tekst cielakowi. – „Artur, to koniec!” – mówi. – A pan... ty czytasz następną linijkę. Okej?

– Okej.

– To super. Zaczynamy. Artur, to koniec!

– Nie rozumiem.

– Ja jestem Julia, a ty jesteś Artur – wyjaśnia nie-szczęśnikowi jak krowie na rowie. – Czytasz kwestię Artura, a ja Julii. I masz powiedzieć – zerka do tekstu – a właśnie, ale heca – uśmiecha się znów – masz powiedzieć „nie rozumiem”.

– Aha – odpowiada cielak.

– Artur, to koniec!

– Nie rozumiem.

– A do czego sprowadza się nasze życie? – akto-reczka czyta.

– Do czego?

Po jego słowach dziewczyna przerywa i chwilę patrzy w twarz cielakowi. Jego odpowiedź jest jeszcze bardziej bezmyślna. Dziewczę, widać, zapomniało tekstu i pewnie żałuje wyboru idioty na sparringpartnera do dialogu. Sytuacja z absurdu zmienia się w nieśmieszną komedię.

– Czekaj, czekaj – prosi lacha po chwili – nie podpowiadaj. – Mmm... – mrucząc pod nosem, widać stara się przypomnieć kwestię. – Do niczego.

– Niczego? Nie rozumiem – mówi cielak.

Zapada cisza. Słyszać jedynie tykanie zegara i przecinające ciepłe powietrze łopaty wentylatora pod sufitem. Dziewczyna nagle uświadamia sobie, co właśnie się stało.

– A tak, tak, masz rację. To jest powtarzane kilka razy – mówi.

Cielak widocznie, spoglądając na kartkę, zapamiętał tekst. Nie był trudny wprawdzie, lecz gość sprawiał pozory muła.

– Ja już cię nie Kocham – dziewczyna natychmiast dodaje. – Myślałam o tym od dawna, teraz jestem już pewna. Odchodzę. Nie patrz tak na mnie – trąkocze – nie bądź na mnie zły. Przykro mi – dodaje po krótkiej pauzie.

Uśmiecha się zadowolona. Już prawie pamięta. Mężczyźnie jednak nie jest do śmiechu. Jego twarz nie zmienia się ani na chwilę. Muł zdaje się nawet nie mrugać oczami. Milczy. Nic dziwnego. Ta próba, lub coś raczej na jej kształt, próba próby, powiedziałbym, nie ma w sobie odrobiny aktorstwa. Dziewoja ledwie nauczyła się tekstu. Nawet nie recytować, a co dopiero grać – myślę.

– Wstaję i idę do toalety – aktoreczka, zerkając w tekst, wyjaśnia ciąg dalszy – a kiedy wrócę, mam ci powiedzieć: „Cóż, idę. Dasz mi buziaka?”.

– Nie, spadaj – łach odpowiada natychmiast zgodnie z dialogiem Artura.

– No! I to koniec!

Następuje chwila milczenia. Aktoreczka się cieszy. Ten patrzy tępo w dziewczynę. Wpatruje się w nią raczej jak katatonik.

– Niezadowolony, co?

– Niezbyt.

– Zaczniemy od nowa. Artur, to koniec! – mówi. – A do czego sprowadza się nasze życie? – powtarza, pomijając kwestię mężczyzny. – Ja już cię nie kocham. Myślałam o tym od dawna, teraz jestem już pewna. Odchodzę. Nie patrz tak na mnie – terkocze niczym karabin maszynowy – nie bądź na mnie zły. Przykro mi. Cóż, idę. Dasz mi buziaka?

– Nie, spadaj.

Dziewczyna kiwa głową w uznaniu jeszcze bardziej zadowolona. Mężczyzna odzywa się własnymi słowami:

– Znasz tekst.

– Dziękuję. Ale brak w nim emocji. Spróbujemy raz jeszcze?

– Jeszcze raz?

– Tak, proszę. Ostatni.

– Ostatni.

– Tak.

– Dobrze.

– Artur, to koniec! – zaczyna, a w jej słowach wreszcie słyszę wypowiedź kobiety odchodzącej od męża albo kochanka. – A do czego sprowadza się nasze życie? – Z tego zdania przebija jednak sztuczność niczym aspartam zamiast cukru w gazowanych napo-

jach. – Ja już cię nie kocham – mówi, lecz teraz jest znów beznadziejnie. – Myślałam o tym od dawna...

– Uśmiechnij się.

– Co?

– Uśmiechnij się – cielak powtarza.

– Mam się uśmiechnąć?

– Tak.

– Ale ona go zostawia, no, tego Artura – wyjaśnia cierpliwie imbecylowi. – W takiej chwili mam uśmiechnąć?

– Tak.

Siedzi w bezruchu niczym szaleniec jakiś, idiota bezsprzeczny, chory na ławce w parku przed szpitalem dla nerwowo i psychicznie chorych. Potwierdza skinieniem głowy. Studentka patrzy z niedowierzaniem na obiekt swojego dziwaczego wyboru. Zastanawiam się, czy teraz żałuje. Trudno opisać jej twarz w tamtej chwili, bo słowo „zaskoczona” zbyt płytko oddaje jej wyraz. Lecz mimo to, ku mej konsternacji, po chwili uśmiecha się, jak obłąkany jej radzi, i zaczyna po raz kolejny:

– Artur, to koniec.

– Nie rozumiem.

– A do czego sprowadza się nasze życie? – Uśmiecha się dalej.

– Do czego?

– Do niczego.

– Niczego?

Dziewczyna skupia wysilek, by zagrać twarzą, jak jej poradził. I bardzo dobrze. Świetnie jej to teraz wychodzi – bestialsko wydaję werdykt. Tym razem w dialogu dostrzegam prawdziwą iskrę. To zaczyna wyglądać realnie – myślę. Tymczasem ona dalej gra wprost fantastycznie.

– Nie rozumiem.

I wtedy. Tamta chwila, kiedy TO właśnie się stało. Powietrze w kawiarni, ruch na ulicach i nawet obroty łopat wentylatora przy lampach zdały się na chwilę ustać. Wpatrzona w jego spojrzenie opętanego twardo utkwione w jej wzroku. Dokładnie wtedy uśmiech spływa z twarzy dziewczyny. Mężczyzna dalej, w tej samej pozie, z niezmiennym wyrazem oblicza wpatruje się w studentkę, z tą jednak różnicą, że...

– Ja już cię nie kocham – odpowiada wolno, zupełnie inaczej. – Odchodzę – dodaje, zmyliwszy tekst, ale nic to, tym przypadkowym sposobem nadaje swej grze cech niebywalej, wprost fantastycznej wirtuozerii, mógłbym pomyśleć, gdyby nie to, czego świadom byłem od samego początku.

Naraz w jej oczach błyskają łzy jak dwa sztylety. I staje się dla mnie jasne, że budzi się gdzieś głęboko skryta w niej dziewczynka. Że oto ten prosty dialog, to durne: „Artur, to koniec” przypomniało jej coś, co nie jest filmem, ale pewnie ciernistym wspomnieniem. A twarz jej mówi, krzyczy wprost do mnie, że wcale nie zapomnianym.

– Myślałam o tym od dawna. – Widzę, że słowa z trudem przychodzą jej przez łyż. – Teraz, teraz jestem już pewna – Ika we wciąż niewzruszoną twarz szajbusa. – Nie patrz tak na mnie! – przerywa nagle, podnosząc głos.

Słowa dziewczynie zasychają w gardle. Przelyka ślinę. Po chwili dodaje szeptem:

– Nie bądź na mnie zły.

Lecz zdanie to drży jak most, po którym toczy się opasłe cielsko lokomotywy. Dalej jest tylko rozpacz.

I dopada mnie nagle straszna, acz nedorzeczna wątpliwość, że oto może to nie być prawdziwy dialog. Że to tylko świetna gra aktoreczki. A facet gra dobrze, bo jego rolą jest milczeć. To prosta rola przecież. W sam raz dla idioty. Że łyż, pociągnięcia nosem i te jej spojrzenia są udawane. Ale nie. Wiem, że jest inaczej. Zupełnie inaczej.

– Przykro mi – kończy scenę. – Cóż, idę.

Zawstydzona wyciera łyż i spogląda na mężczyznę.

– Muszę lecieć – śmieje się przez płacz.

Mężczyzna tymczasem wygląda tak samo jak przed kilkoma minutami. Nie ma w nim ani cienia zaskoczenia. Nic się nie zmienia. Brak choćby odrobiny szoku. Wciąż tak samo jest niewzruszony. Szok jednak dopada mnie i barmana. Teraz dopiero dostrzegam, że nie tylko ja TO obserwowałem. Uświadamiam sobie, że dla chłopaka za barem również i ja jestem jak ogniwo jakiegoś łańcucha, jak część tej osobliwej sceny, choć z moich ust nie pada ani jedno słowo.

Studentka wstaje, zdziwiona tym, co przeżyła. Uśmiecha się delikatnie, ale widać jest zawstydzona. Wychodzi w pośpiechu, chyba w gruncie rzeczy zadowolona.

– Dziękuję – rzuca na pożegnanie.

Jej kawa pozostaje nietknięta. Macha nam ręką niepewnie, obraca się i znika. Sekundę później zjawia się ktoś, o kim studentka nigdy ma się już nie dowiedzieć. Z łazienki wraca kat lacha. Od początku o niej wiedziałem. Wiedzieliśmy wszyscy z wyjątkiem aktoreczki. Słyszeliśmy rozmowę baby z cielakiem, ja zza tarczy mej *Pornografii*, barman skryty szańcem bufetu. Tymczasem tamta zbliża się pewnym krokiem do nieciekawego, spogląda z uśmiechem i wzdycha głęboko.

– Cóż, idę.

Nie robi to jednak na nikim większego wrażenia, albo wrażenie jest tak duże, że nie potrafimy własnym zmysłom uwierzyć.

– Artur, dasz buziaka?

– Nie, spadaj.

--

Inspirowane filmem *On s'embrasse*.

Reżyseria: Pierre-Olivier Mornas.

Czwarty dzień grudnia

Spoglądam w kalendarz. Sumienie mnie laje. Powiniennem usiąść do klawiatury i pisać. Dziś przecież 4 grudnia, niedziela, we wtorek będzie Mikołaj i zaraz święta. Poza tym dziś mam cholerny *deadline*. Muszę napisać opowiadanie na konkurs. Nigdy nie lubilem opowiadań, a tym bardziej konkursów. Do tego temat ma być świąteczny. Znaczy się co – myślę? O karpiach, choince albo kolejny raz wyświetlonym, starym jak arka Noego filmie *Kevin sam w domu* w Polsatowskim szambie, między reklamami podpasek i zapewnieniami, co jest najlepsze dla mężczyzny?

Sam wiem, co dla mnie najlepsze. Nikt nie musi mi tego mówić. Dziś, Święty Mikołaju, chciałbym dostać natchnienie – drwię z siebie, siadając w ulubionym fotelu zamiast przy biurku. I nie znoszę grudnia i świąt.

Cholerna niemoc twórcza. Lenistwo, znaczy się – myślę, spoglądając na czerwoną datę. Czasem pewnie każdy pisarz ma tak jak ja teraz. Pisać. Jak to prosto, słodko i pozytywnie brzmi! Pięcioliterowy czasownik, dwie tylko sylaby. Cholerne narzędzie tortur. Przekłète uczucie. Dziś nie dam rady – usprawiedliwiam własne „ja”. Wolę się napić. Konkretnie soku z wódką. I to wyłącznie polską. Jest za czyje zdrowie wypić i przy tym okazja na bycie patriotą. Sącząc drinka, przysmykam powieki. Połączyłem słodki smak lat młodości z gorzkim smakiem wspomnień.

Sen przychodzi podstępem. Przynosi beczelnie realną projekcję. Znów mam 20 lat, jeszcze nie palę 20 papierosów dziennie. Siedzę w tym samym fotelu i wiem, że „zapomnieć” to duże słowo, ale proszę właśnie o nie...

– Tatusiu, na co patrzysz? – Słyszę głos córki.

– Na zawody. Mistrzostwa świata w lekkiej atletyce.

Jej spojrzenie wędruje na ekran telewizora. Marszczy brwi i uważnie patrzy. Chwilę skupia się na sylwetkach sportowców.

– Ja nie lubię atletyki – odpowiada po chwili.

– Lekkiej atletyki.

– No właśnie. Zresztą nieważne, nie lubię i już.

– Dlaczego?

– Jest głupia. Sport też. Kiedy biegamy, zawsze przegrywam – odpowiada, wskazując postaci sportowców.

– Na pewno zawsze?

Dziecko zastanawia się chwilę. Widzę w jej rysach część siebie jak na zdjęciu z dzieciennych lat. We włosach dostrzegam chłopaka, jakim byłem, a w zbyt obszernych ruchach nieporadność z pierwszych lat podstawówki. Tymczasem Magda przechyla główkę z zainteresowaniem.

– Masz rację – rezolutnie odpowiada. – Czasem udaje się wygrać. Ale wtedy to też jest głupie.

– Dlaczego?

– Dlaczego i dlaczego! Przecież to jasne jak słońce – odpowiada, wzruszając ramionkami. – Kiedy prze-